Nr. 41. We Lwowie dnia 8. października 1894. Rok II.



Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“
pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

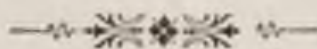


Zadania powieści polskiej*).



Skreślił

Z. Miłkowski (T. T. Jeż).



Zanim przystąpię do wykazania zadań powieści polskiej, muszę pierwej, celem wymotywowania opinji, jaką we względzie tym wyrażę, zrobić ogólny na powieść pogląd.

Zkąd się ona wzięła? — i czem właściwie jest ta forma twórczości literackiej, której produkcje zaliczają się do rodzaju literatury nadobnej?

Zkąd się wzięła? — to jest: kiedy i jak powstała?

Odpowiedź na to pytanie zależy od punktu widzenia, jaki odpowiadający zajmuje. Punkt widzenia ściśle literacki, oznaczony przez teoretykę spółczesną, narodziny powieści odnosi do daty bardzo świeżej — wczorajszej niemal. Rozpatrując się atoli w narodzinach owych uważnie, przedstawią się nam one nie jako narodziny, ale jako stopień rozwoju, podobny do tego, jakiemu podlegają istoty organiczne. Pisklę, po wykłuciu się z jajka, opierza się pierwej w gnieździe, zanim stanie się ptakiem; człowiek z niemowlęcia wyrasta na młodzieńca i męża; owady bardziej jeszcze wyraźne przechodzą koleje; żaden naturalista nie powie o motylu, naprzykład, że się motylem od razu, barwnym kochankiem róż, narodził. Tak samo rzecz się ma i z powieścią. Śledzenie jej powstania prowadzi nas od doby dzisiejszej ku jej narodzinom wstecz wieków daleko, bardzo daleko — do tego aż momentu, w którym się mowa ludzka poczęła u c z ł o w i e c z a ć, przechodząc z gardlanej, jaką była pierwotnie, kiedy służyła wyłącznie do wyrażania uczuć, do językowej, albo raczej, językowo-podniebieniowo-wargowej, jaką być poczęła, gdy najpierwotniejsi przodkowie nasi poczuli potrzebę, nie tylko wyrażania uczuć, ale i tłumaczenia wrażeń.

W przejściowej onej fazie formowały się wyrazy, które zaznaczyły świtanie myśli.

Ważnem i ciekawem jest zapytanie: czem się myśl naddziadów naszych w epoce przedjaskiniowej zajmować mogła?

Czem-że innem, jeżeli nie temi sprawami, którcmi zajmują się istoty na niższych aniżeli człowiek szczeblach drabiny stworzeń postawione! — czem-że innem, jeżeli nie tem, czem się zajmują zwierzęta czworonożne, ptaki, płazy!.. — odżywianiem się i przechowaniem gatunku. Zajęcie to odbywa się dziś i odbywało się w czasach owych za pomocą zdobywania, któremu w mniejszym lub w większym stopniu, mniej albo bardziej wyraźnie, towarzyszyła walka — walka z naturą.

Natura, matka żywicielka, dwojakim dziatwę swoją hodowała sposobem. Jeden polegał na tem, że jej wszystko dawała darmo, — pozostawało jeno zbierać: dziatwa wszechrodzajowa, pełzająca, latająca i chodząca, nie siała ani orała, miała w bród wszystkiego i stroiła się jako lilje wodne. Drugi sposób był dużo odmienny, wynikał bowiem ztąd, że jedne istoty służyły za pożywienie innym, słabsze mocniejszym, musiały przeto jedne bronić się, drugie napastować. Na tem polu toczyła się walka, walka krwawa, zawzięta i bezustanna, przejawiając się pod postaciami najrozmaitszemi i regulując wedle zmysłu samozachowawczego. Toczyła się ona pomiędzy rodzajami i gatunkami, różniącemi się jedne od drugich, jak to ma miejsce i obecnie. Małe ptaszęta gonią za muszkami, polują

*) Odczyt, wygłoszony we Lwowie, na Wystawie, w hali koncertowej, dnia 22. lipca 1894.

na robaczki, zjadają je i same służą za pożywienie ptakom większym, kotom, łasicom. Nie dosyć jednak na tem. Wkraczała ona (i wkracza, mówię atoli w czasie przeszłym dla tego, że mi chodzi o wykazanie, jak daleko sięga początek powieści) — wkraczała tedy owa walka i w łono, w głąb jednych i tychże samych rodzajów i gatunków. Jak tamtej odżywianie, tak tej przechowywanie gatunku (bójki o samice) za podnietę służyło, luboć i odżywianie obcem jej nie było — mianowicie w gatunku *homo*. Wynajdywane obecnie po grotach szczątki, noszą na sobie ślady, świadczące w sposób wątpliwości nie podlegający, że przodkowie nasi spożywali jedni drugich. Istoty jednorodzajowe, jakoteż istoty rodzajów i gatunków odmiennych, nie oddawały się na spożycie dobrowolnie, — rzecz jest wprost nieprzypuszczalną, ażeby się nie broniły.

Z pomroki przeto przeszłości, oddalonej od doby dzisiejszej o ilość wieków niezliczoną, wychyla się ku nam jasno i dobitnie fakt walki, — walki ogólnej, walki, toczącej się zawzięcie z pobudek i podniet instynktowych w królestwie istot, obdarzonych życiem i ruchem. Cechy jej, na których się dłużej zatrzymywać nie będę, były jednakowe, czy hyena olbrzymia (gatunek dziś nie istniejący) napadała na człowieka, czy człowiek napadał na hyenę, i odwrotnie, czy się hyena broniła od człowieka, czy człowiek bronił się od hyeny. Siła muszkułów, potęga szczęk, zręczność w poskoku rozstrzygały boje, nie pociągając za sobą następstw innych, jak te tylko, że albo człowiek zjadał hyenę, albo hyena zjadała człowieka.

Trwało to tak długo, póki w głowie człowieczej nie zaświtała myśl, tłumacząca się wyrazami.

Świtanie owo wywołała potrzeba — potrzeba dwojaka: wyszukiwania sposobu na pokonywanie przeciwników silniejszych, jakoteż, zdawania sobie sprawy ze stosunków, w jakich człowiek pozostawał do wszystkiego, co go otaczało: do natury martwej, do tajemniczych a zagadkowych sił przyrody, wreszcie do świata zwierzęcego, z którym pozostawał w styczności bezpośredniej. Wszędzie go spotykała walka i wszędzie spotykał się z potrzebą szukania sposobów, nie mogących być wykombinowanemi inaczej, jak tylko za pomocą: zdawania sobie sprawy, tłumaczenia sobie — że się tak dzisiejszym wyrażę językiem — sytuacji własnej, o p o w i a d a n i a jej sobie.

»Opowiadania«... — cóż to jest? — co to znaczy?

Nie jest ono, a raczej nie mogło być czem innem, jak tylko rudymentarną, z bardzo ubogiego słownika wyrazów wypośrodkowaną powieścią.

Nie podsłuchiwaliśmy tych opowiadań; nie doszły do nas najmniejsze o nich wiadomości: na drodze domyślania się jednak, posiłkując się analogją, możemy istotę ich poznać, do formułowania bowiem domysłów mamy przykłady ludów, znajdujących się w obecnym momencie w stanie pierwocin cywilizacyjnych, mamy oraz dzieci nasze, gdy dochodzą wieku, w którym budzą się w nich władze myślenia. Jak w tych ostatnich, tak u ludów pierwotnych, opowiadania stanowią formę, jaką świtająca myśl przybiera — z tą atoli różnicą, że dzieciom naszym, przychodzącym na świat śród książek, obok szkół, pod okiem pedagogów, podpowiada się ona, u tamtych zaś tworzy się sama, zrazu mglista, niepewna, niewyraźna, następnie coraz to pewniejsza i wyraźniejsza, aż urabia się w końcu na podania i legendy, z których wyradzają się takie utwory, jak opowiadanie o czynach Ramy, będącego wcieleniem Wisznu (Ramajana), jak Mahabarata, opowiadająca o wojnach Kurusa i Pandusa, o czynach Kriszny i Ardzuna. Z opowiadań tych powstały Vedy. Z legend i podań powstaje Zend-Awesta, z legend Biblja i Koran. Zapładniają one umysły, poprzedzają religje i filozofje, służą za podstawę, albo raczej za punkt wychodni wszelakiego w dalszych następstwach rozwoju cywilizacyjnego. Z opowiadań, niby ze źródła, wynikają nauki, z opowiadań będących nie czem innem, jak tylko tem, co nazywamy powieścią: zdawaniem sprawy ze zdarzeń, wynikających ze stosunku człowieka do natury, do otoczenia, zdawaniem sprawy, będącem — słowem — odzwierciadleniem życia w jego bytowaniu realnem, w jego aspiracjach pomysłowych.

Iljada — nie jest-że tem?

Wielkie epopeje starożytne, które studjujemy obecnie i któremi się zachwycamy, nie wzięły się niewiedzieć zkąd, nie zwiały się z powietrza w głowy twórców, którymi, jak się domyślać wolno, były osobistości zbiorowe. Poprzedziły je opowiadania, powieściowe lepianki, pierwotne kwilenia myśli człowieczej, która się powoli, pod wpływem opowiadań, kształtowała, doskonaliła, pogłębiała i same opowiadania rozszerzała, podnosiła i nadawała im formy wykwintne.

Początek przeto powieści jest bardzo — bardzo dawny, spółczesny świtaniu w rodzaju człowieczym myśli, świtaniu, wywoływanemu przez walkę.

W miarę kształtowania się i doskonalenia myśli ludzkiej, a z nią mowy, kształtuje się i doskonali powieść, opowiadana językiem bądź potocznym (prozą), bądź też ujętym w formy wytworne, przejęte od rozwijających się równolegle do rozwoju myśli sztuk pięknych: muzyki, rzeźby. Wysnuwa się ztąd poezja — mowa bogów. Że jednak ona sama — o powieści mówimy — powstała z walki, więc cechy walki na sobie zachowuje i lubuje się w nadzwyczajnościach, które przepełniają legendy, podania i epopeje tak starożytne, jakoteż późniejsze. Twórcy ich, przesadzać usiłując jedni drugich, potęgują nadzwyczajności i budują w ten sposób wzór człowieka, męża silnego ramienia, niezrównanej odwagi, nie

znającego przeszkód ni trudności, którychby pokonać nie mógł. Przeszkody na przeszkody piętrzą się, — on je zwalcza Czegoż nie dokazują bohaterowie Torquata Tassa, wyzwalając Jerozolimę! Czego nie opowiada Kamoens w »Luziadach«! Co za istne duby smolone prawi Ariost w »Orlandzie szalonym!« Opowiadanie pierwotnych, prostych legend, zasilone fantazją, przeniosło się do opowiadań kunsztownych i, mając zawsze za wytyczną walkę, ową walkę początkową, homeryczną, walkę na pięście, na kije, na kamienie, do której potrzebni byli Waligóry i Wyrwidęby, doprowadziło ją do rozmiarów niemożliwych.

Nie było to bez racji, tkwiącej w naturze człowieczej. Owo wyprowadzanie bohaterów powieściowych do tracącej wszelką miarą wysokości pochodziło z naturalnego w człowieku parcia się ku wyżynom, z wrodzonego popędu ku doskonaleniu się, z podążania ku postępowi, którego nie osięga się bez walki. Parcie się to, zaznaczone w starożytności legiendami o budowaniu wieży Babel, o lataniu Dedala i Ikara, znalazło w czasach ostatnich wyraz swój w »nadczłowieku« *(Uebermensch)*, wyfilozofowanym przez Nitsche'go. Schiller scharakteryzował je w sporze matki z synem, wydzierającym się na góry:

Mutter, Mutter, lass mich. gehen
Jagen auf der Bergen Höhen!

Uwaga ta przyda się nam poźniej, kiedy będę mówił o zadaniu powieści. Zaznaczając dawność jej pochodzenia, zaznaczyć oraz musiałem charakter, w jakim ona na świat przyszła i jaki następnie przybrała.

Definiują ją obecnie, jako źwierciadło życia. Definicja ta, trafna i słuszna, nie zdaje się, ażeby przystawała do powieści takiej, jaka wyszła z pod piór twórców epopeji bohaterskich. Cóż to bowiem za źwierciadło, w którem odbijają się Angeliki, Radamanty, Rożery, Ferragusy, Renaudy i mnóstwo innych heroin i bohaterów, wprawionych przez Ariosta w ruch iście szalony, a z możliwą rzeczywistością w najmniejszej nie pozostających styczności! Cóż to za źwierciadło takie?...

Ta fantazji rozchełznana przesadność nie sprzeciwia się definicji, nie osłabia jej i nie szkodzi bynajmniej. Powiedzieliśmy powyżej, skąd się ona wzięła; uzupełnimy to poglądem na życie. Życie nasze kieruje się wedle rozumu, który nas na ziemi trzyma, oraz wedle wyobraźni, budującej dla nas zamki w powietrzu. Jak w człowieku pojedyńczym, tak w człowieku zbiorowym, w pewnych momentach, w pewnych epokach życiowych, skutkiem wpływów niekiedy zagadkowych, przeważa rozum nad wyobraźnią, w innych wyobraźnia przeważa nad rozumem. Gdy to ostatnie ma miejsce, wówczas wyzwala się z wszelkich więzów fantazja, która, zasycona wierzeniami, przesądami i pragnieniami, z życia wynika, która jest z niem ściśle spojona, która przeto, waląc Peljon na Ossę, opowiadając o zaklęciach, czarodziejach, koniach skrzydlatych, czapkach niewidzimkach, płaszczach samolotach, życie samo odtwarza. W pewnych epokach, w pewnych momentach, w społeczeństwie panuje nastrój, który tego wymaga. Dawneż to czasy, kiedy wierzono w rzeczy nadprzyrodzone, w zaklęcia, w cuda, kiedy palono czarowników i czarownice, kiedy wypędzano szatana, kiedy poszukiwano kamienia filozoficznego, kiedy astrologowie kierowali losami państw? Wszystko to żyło, życiem było — i w powieści to życie, jak w źwierciadle, odbijało się wiernie, luboć może przesadnie trochę -- chociaż i to nie, albowiem przesadność tkwiła i praktykowała się w życiu, budząc pragnienia i popędy, miary nie mające. Powieść do tego ogólnego stosowała się nastroju.

C. d. n.



DO MŁODZIEŻY,

zesłanej na wygnanie z powodu manifestacji na cześć Kilińskiego.

—⁂—

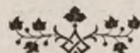
O, biedna wygnańców młodzieńcza gromado,
Drużyno ty orla! rozbito ci stado,
Z nad Wisły pognano na Sybiru śniegi
I czujnej strażnicy przerwano szeregi...
Uczciłaś rocznicę: wielkie ludu święto,
A więc za to chleb myśli i wolność ci odjęto.

O, bracia i druhy, o polska ty wiaro,
Za grzechy nie swoje pokutna ofiaro!
W purpurze tułactwa — i nędzy — i głodu —
W poselstwie do dziejów idziesz od narodu...
A matki żałosne, z twarzą bólem bladą
Ze łzą tobie na czoło krzyża znamię kładą.

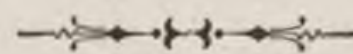
O, drodzy bezdomni, serdeczna ty dziatwo!
Z tęsknicą wygnania... ach! żyć się niełatwo...
I sercem lęk wstrząsa: może siejbę ducha
Powszedniość pochłonie, jako przepaść głucha?...
W najdroższych pamięci znikniesz... nakształt cienia?
Najmłodszym — może-ś nawet nieznany już z imienia?

O, braćmi wy dla mnie!.. Siostrzanej wam dłoni
Ślę uścisk gorący — na Północ — z nad toni,
Co czajki kozackie huśtała na grzbiecie...
Dłoń wasza, gdy z moją uściskiem się splecie,
To w serca samotne nam wniknie otucha —
Bo ja w was, a wy we mnie smętnego macie druha...

Tułacze wy nasi! Z krańców Europy
Aż w Azji pustynie wam rzucam pod stopy
Tęczowy most wiary, że... o! z przyszłą wiosną
Mścicieli znów hufce z młodszej braci wzrosną,
Że za nas w szeregu w świętej staną jedni —
Ach! matki we mnie serce przyrzeka wam to, biedni!



Z ZACHODNICH KRESÓW.



(Ciąg dalszy.)

Gdy w rozmowach naszych z Polakami z innych dzielnic, przytaczaliśmy na obronę Poznańczyków fakt, że lud poznański wysoko pod względem oświaty i poczucia obywatelskiego stoi, zdarzało nam się słyszeć bardzo naiwne zdania, przypisujące ten objaw wpływowi szkoły niemieckiej. Pogląd taki zdradza grubą nieznajomość rzeczy i sam przez się stanowić może dowód, że kordon rosyjski i rosyjska cenzura stanowią między nami zaporę silną i oddalają nas równie skutecznie, jak góry i morza, dzielące nas od Brazylji lub Stanów Zjednoczonych. Istotnie, słysząc o tem, iż w Niemczech istnieje przymusowa i bezpłatna nauka dla wszystkich, wyobrażają sobie nasi rodacy, iż jest to tak idealny stan rzeczy, jaki tylko wymarzyć można, prawdopodobnie zresztą tak się ta sprawa przedstawia w czysto niemieckich prowincjach państwa. Trzeba jednak przyjrzeć się, czem jest szkoła niemiecka u nas dla naszych dzieci, aby sobie zupełnie obrzydzić to wielkie dobrodziejstwo naszych zachodnich sąsiadów. Pomyślmy tylko, że wszystkie niezamożne dzieci polskich rodzin od 6go do 14go roku życia kilka godzin dziennie przebywają w szkole, gdzie ani jednego polskiego nie słyszą wyrazu, że malcy, którzy zaledwie troszkę od ziemi odrośli i zaledwie nauczyli się mówić swym własnym językiem zmuszeni są jak papugi powtarzać za nauczycielem niezrozumiałe wyrazy, odgadywać, czego ów nauczyciel chce od nich i naturalnie narażać się na plagi, jeżeli ich domyślność dość daleko nie sięga. Przypuszczać można, że tam, gdzie nauczycielem jest Polak, wbrew przepisom da czasem dzieciom objaśnienie w ich ojczystym języku, fakty jednak takie tylko wyjątkowo i sporadycznie zdarzać się mogą, gdyż rząd zapobiega im starannie, przysyłając do naszych szkółek nauczycieli, nie umiejących po polsku, a Polaków wysyłając do Westfalji i nadreńskich prowincji. Wyobraźmy sobie tragikomiczne położenie wiejskiego pedagoga wobec 80 dzieci, z któremi zupełnie porozumieć się nie może, a które mu uczyć kazano! Naturalnie, nauka taka jest po prostu systematycznem, ośmioletniem ogłupianiem dzieci, a sumiennego pracownika po kilku latach mogłaby do bzika doprowadzić. Gdyby notować wszystkie fakty szkolnych nieporozumień, wynikających z takiej anormalności potwornej, urosłaby z nich gruba księga, mogąca czytelnika i do łez i do śmiechu pobudzić. Że z takiej szkoły wychodząc, dzieci nasze ani po polsku ani po niemiecku dobrze nie umieją, nie potrzebuję dodawać, a i o tem już nawet wspominać nie trzeba, że wszystkie inne nauki dochodzą do ich świadomości w tak niejasnej, poplątanej i przekręconej formie, iż bynajmniej do nabytków umysłowych liczyć się nie mogą.

Wobec tego wszystkie dobre strony oficjalnego programu szkolnego u nas przynoszą tylko szkodę. I tak np. dość znaczna ilość wykładanych przedmiotów, ich zakres stosunkowo wysoki, sprawiają, że w umysłach dzieci polskich powstaje tem większy zamęt. Geometrja, arytmetyka, historja powszechna, historja Niemiec plączą się w ich głowach w taki bigos hultajski, że w interesie ich umysłowego zdrowia trzeba im życzyć, aby, opuściwszy szkołę, jaknajprędzej zapomniały słyszanych nauk.

Nieraz zdarzało nam się badać te rzeczy na miejscu, a każda rozmowa z uczniami szkół elementarnych potwierdzała ten pogląd bynajmniej nie grzeszący zbytecznym pesymizmem. Jedna z uczenic wiejskiej szkółki powiedziała nam; że przed rozpoczęciem lekcji nauczyciel sprawdza ich obecność w szkole, wywołując dzieci po nazwisku, one zaś wstają i odpowiadają na głos: »*hijer jestern war*«. Przez 8 lat myślę nad pochodzeniem tych trzech wyrazów, i dotychczas nie udało mi się tej sprawy wyświetlić. Dalej znów opowiadała, że nauczyciel opowiada o »Kunach i Kotach«: tu już domyślność moja doprowadziła mnie dalej i wiem, że było to właśnie opowiadania o Hunach i Gotach. Zdarzyło się raz, iż inspektor, zwiedzając szkołę, egzaminował dzieci i zapytał jednego chłopca: »*Wie heisst dein Vater?*«. Ponieważ dziecko zestawienie wyrazów »*heisst*« i »*Vater*« słyszało tylko przy lekcji historji, więc odpowiedziało bez namysłu: »*Pipin, der kleine*«. Rzecz, której się nauczyło machinalnie, umiało tylko machinalnie powtórzyć.

Nikogo w tych warunkach dziwić nie powinno, że w Poznańskiem procent analfabetów jest znacznie większy, niż w innych okolicach Prus. Zadziwiającym jest raczej fakt, że pomimo idjotycznego systemu szkolnego istnieje jeszcze tak znaczny procent ludzi, czytać i pisać umiejących. Dowodzi on, jak wiele wrodzonych zdolności, jak wielką bystrość posiada lud nasz, gdy nawet najsystematyczniejsze ogłupianie małe stosunkowo skutki osiąga. Zaprzeczyć bowiem nie można, że zdolniejsze głowy wynoszą ze szkoły jaki taki zasób wiadomości, że choć się tego w szkole nie uczą, po polsku czytać, a nawet pisać umie znaczna liczba.

Pomimo nienawiści, jaka panuje ogólnie dla szkoły niemieckiej, nienawiści bardzo usprawiedliwionej zresztą, pragnienie nauki u ludu jest

wielkie i gdzie tylko rodzice lub starsze rodzeństwo sztukę polskiego czytania lub pisania posiadają, udzielają ich młodszym dzieciom prywatnie. W tym kierunku działalność germanizacyjna rządu zupełnie zresztą chybia celu. Udaje mu się poniekąd stawiać zapory rozwojowi umysłowemu naszych dzieci, zepsuć ich polszczyznę, ale przywiązania do niemieckiego rządu i państwowego języka rozbudzić w nich nie zdoła. Ani Wypisy, przepełnione wielkimi czynami Hohenzollernów, ani śpiewanie »*die Wacht am Rhein*« w dzień urodzin cesarskich i w rocznicę Sedanu, nie zrównoważą głębokiego wstrętu, którym rodziców i dzieci przejmuje bezmyślna, papuzia paplanina niemiecka w szkole. Jest to fakt analogiczny do tego, jaki w swym humorystycznym wierszyku »Gramatyka« skreślił nasz Rodoć. Niejeden z naszych malców, wychodząc ze szkoły, klnie najgorszemi wyzwiskami nietylko »*der, die, das*'y«, ale wszystkich Hohenzollernów z ich przeszłą i obecną wielkością i chwałą.

Jeżeli więc szkoły niemieckie mogą mieć jaki wpływ na rozbudzenie uczuć patrjotycznych, na rozjaśnienie poglądów ludu naszego, to tylko jako namacalny, ciągle widoczny obraz krzywdy, jaką nam germanizacja wyrządza. Choć dzieci nasze z ławy szkolnej wynoszą nietknięte uczucia narodowe, zaostrzone nawet niechęcią do germanizatorów, to niestety, polszczyzna ich niezmiernie skaleczoną i popsutą bywa. Lud poznański, najpatrjotyczniejszy ze wszystkich grup ludowych naszego kraju, mówi językiem, którego nieraz zrozumieć by nie można bez porównania z niemieckiemi wyrazami i wyrażeniami. Zamiast czyścić, mówią tam »*pucować*«, zamiast kolej żelazna »*izybana*«, a wyrazy, jak »*vorbei*«, »*vorwärts*« i t. d. powtarzają się nieustannie.

Dużo mówiono po za granicami Prus o znacznych ulgach, jakich za panowania obecnego cesarza Polacy doznać mieli. Istotnie system germanizacyjny cokolwiek złagodniał, a ulgi choć są mimowolne, jednakże pewne istotne korzyści przyniosły. Polegają one jedynie na tem, że nauczycielom szkół elementarnych dozwolono po za godzinami szkolnemi lekcji języka polskiego udzielać. Pozwolenie to rozciąga się i na osoby prywatne, jeśli chcą nauczać nie więcej, niż sześcioro dzieci naraz. Jak widzimy jest to ustępstwo tak maleńkie, że ledwie o niem wspominać warto. Język wykładowy pozostał ten sam, polszczyzna z programu wykluczona, jedynie tylko przestano ograniczać swobodę tych rodziców, którzy poza szkołą chcą dzieciom swoim polskie dać wychowanie. Mówić z tej racji o zupełnej zmianie systemu, o dobrodziejstwach nowego rządu jest co najmniej przesadą, jednakże przyznać należy, że byleśmy z tej ciasnej, odemkniętej dla nas furteczki, zręcznie skorzystali, możemy zrobić wiele dla obrony naszych interesów. Przedewszystkiem na zasadzie tego rozporządzenia rodzice polscy mają prawo upominać się, aby im przysyłano nauczycieli, znających polski język, a zatem Polaków. Naturalnie Poznańczycy, przywykli do energicznego dochodzenia swych praw, bynajmniej tej sposobności nie przeoczyli i zachęcani przez prasę włościanie zewsząd posyłali gromadne petycje o zmianę nauczycieli — petycje, które zresztą rząd uwzględniać musiał dla samej konsekwencji.

Wywołało to wielkie oburzenie w niemieckich pismach szowinistycznych. Między innemi »*Paedagogium*« uspokoić się nie mogło i starało się przekonać rząd, iż nie należy Polakom robić żadnej ulgi, gdyż oni z każdej korzystają dla rozszerzenia swej zgubnej dla państwa agitacji. Jest więc rzeczą wprost szkodliwą podnosić do zbyt wielkiego znaczenia drobniutkie ustępstwa, jakie dla nas rząd obecny uczynił. Są one tak maleńkie, że nie dają powodu do tryumfalnych okrzyków, a daleko jesteśmy jeszcze od tego, aby nasze prawa narodowe należycie uwzględniano.

Dok. n.



MŁODE SIŁY.

Wacław Sirko: »Na kresach lasów«. Opowiadania. Petersburg 1894.

Wacław Sirko — pseudonim zapewne całkiem obcy publiczności galicyjskiej — wystąpił poraz pierwszy przed 4—5ciu laty. Kilka nowel Sirki drukował zamknięty obecnie przez policję moskiewską *Głos*; z nowel tych wyróżniała się szczególniej jedna p. t. »Chajłak«. Nie przypominam sobie żadnego utworu naszych młodych beletrystów lat ostatnich, któryby tchnął taką oryginalnością motywów, co »Chajłak« Sirki. Obok niepospolitej siły talentu składały się na to jeszcze inne okoliczności. Szperactwo psychologiczne we własnem »ja« oraz oglądanie się i naśladownictwo wszelkich chimerycznych prądów Zachodu stanowiło w nas dość stałą charakterystykę młodej generacji literackiej, niezależnie, czy autorem był wielki talent w rodzaju Dąbrowskiego, czy ubogi w duchu naturalista w rodaju St. Piątkowskiego. Nieliczni tylko przedstawiciele młodych sił umieli sobie zdobyć piętno oryginalne i pójść drogą mniej utartą — a do tych należeli ci przedewszystkiem, których same warunki życia popychały torem mniej szablonowym. Należał do takich w swoim czasie Adam Szymański: nie wiem, jaką miarą talentu obdarzonym był autor »Szkiców« — sądzę wszakże, że dopiero bezmierna tęsknota tułacza w beznadziejnych obszarach Syberji wydobyła mu z pod

serca te cudne motywa przewoźnika, żyda i szewca na wygnaniu, ową natchnioną kantatę »Dwóch modlitw«. Wacław Sirko również nie mógłby napisać »Chajłaka« ani »Na krańcach lasów«, gdyby własnemi nogami nie przemierzył syberyjskich etapów...

Co to jest »Chajłak«?

W zapadłym kącie nieobjętej tundry syberyjskiej, gdzieś wśród dziewiczej tajgi, była osada Jakutów. W osadzie tej pewien młody Jakut pojął za żonę Jakutkę, imieniem Kerenus — istny kwiat swego plemienia, wdzięczną, cichą i trwożliwą, jak łań, dziewczynę. Młody Jakut i Kerenus żyli na skraju jakuckiej osady, zażywając pełni szczęścia. Wśród śniegów mroźnej tundry w sercach dwojga dzikich powstawała idylla — również różowa i rajska jak pod włoskiem niebem. Jakut i Kerenus w szczęściu tem podobni byli do dwojga dzieci. Od codziennych zajęć domowych, które spełniali wesoło, odrywali się często do pieszczot i śmiechu. Młody Jakut chętnie wykazywał przed żoną siłę swych mięśni i zwinność ruchów, a Kerenus darzyła go niewinną słodyczą uśmiechu i płochliwą zalotnością, strojąc się w barwne szmatki i misternie splatając warkocze.

W tym samym czasie przywieziono do osady »uruskiego« t. j. skazańca Rosjanina. Był to chłop tęgi, ponury, skazany za zabójstwo, którego osada jakucka według prawa miała przez czas wygnania żywić i dozorować. Na walnem zebraniu, poruszeni do głębi Jakuci, długo obradowali nad tem, gdzie uruskiego chajłaka zalokować? Każdy rad spychał ten ciężar na sąsiada, bo któż chciałby mieszkać z takim obcym, całkiem innym człowiekiem? To trudno: Jakut jest zawsze tylko Jakutem, a uruski, chociażby największy zbrodzień, najnędzniejszy chajłak, zawsze będzie uruskim, t. j. istotą, która mogła dużo, dużo Jakutowi zaszkodzić. Uradzono więc wreszcie, żeby oddać chajłaka młodemu małżeństwu: ci mieli dom na krańcu wsi i miejsca dość.

I teraz między wesołem stadłem zasiadał do miski ponury, milczący chłop — przemówić do niego nawet nie było sposobu, bo po jakucku nie rozumiał. Zresztą legiwał najchętniej milcząco w ciemnym kącie domu na ławie, dziwnie ponury i ociężały. Płochliwa Kerenus, zwijając się po izbie, czuła na sobie uporczywy wzrok chajłaka, a gdy mąż wychodził do lasu, dziwna trwoga opanowywała ją i sama uciekała najchętniej z domu.

Chajłak po całych dniach bezczynnie leżący na ławie, coraz natarczywiej wodził za kobietą błyszczącemi oczyma. Po długiej poniewierce po etapach, powracał teraz do sił — nawet czasem coś mówił lub się uśmiechał. Ale to było jeszcze gorsze dla Kerenus, bo chajłak nauczył się teraz zaczepiać ją bez potrzeby. Nie raz spotykała go na swojej drodze, gdy szła sama w lesie, w którym chajłak urządzał na nią zasadzki. Spospępniała chata jakucka: Kerenus ciągle strwożona płakiwała po kątach, młody mąż, rozdrażniony, nawet ją obił raz, gdy się żaliła. Chajłak stawał się znowu bardziej ponurym i oczy miał jeszcze dziksze, jeszcze bardziej błyszczące. Aż wreszcie doszło do tego, że parę razy Kerenus tylko z największym wysiłkiem zdołała ujść jego objęć, drżąc cała z obrzydzenia na myśl o włochatej twarzy i gorącym oddechu chajłaka.

Tak dłużej być nie mogło. Młody Jakut póty chodził i przekładał swoją biedę starszyźnie osady, aż wreszcie uradzono chajłaka wziąść od nich i odesłać do innej wioski. Cała osada uzbroiwszy się w sznury i odwagę, pod wodzą rozżartego najbardziej młodego Jakuta, udała się w stronę jego domu. Chcieli wejść na początku w kilku, niby na pogawędkę — nawet Kerenus dla niepoznaki zostawała w chacie. Kiedy z niecierpliwym mężem zbliżyli się do chaty, ujrzeli drzwi zaparte z wewnątrz.

Słychać było w chacie jakieś bieganie, jakgdyby ktoś kogoś gonił, przewracając stoły i ławki. Próżno młody Jakut ochrypłym głosem wołał, żeby mu otworzono: z głębi dolatywały dźwięki szamotania się. Kerenus rwała się do drzwi, a chajłak, ciężko dyszący, mocował się z nią i nie puszczał. Słychać było płacz i jęk młodej kobiety i niezrozumiałe wyrazy chajłaka tuż, tuż przy drzwiach. Pierwszy mąż wyszedł z osłupienia i począł z wściekłością wyłamywać drzwi — za nim poszła gromada. Raz tylko jeszcze przeraźliwy krzyk kobiecy przeszył powietrze — po czem drzwi runęły... I ujrzano wówczas Kerenus martwą, leżącą na podłodze tuż przy drzwiach, — w głębi, w swym ciemnym kącie, stał Chajłak, z siekierą w ręku, wodząc błędnemi oczyma przed sobą.

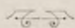
Rzeczy takiej, jak »Chajłak« Sirki zapomnieć nie można. Straszliwa tragedja elementarnych popędów ludzkich na tle pół dzikiej idylli, oddana z niewymowną siłą, nie w pamięć się wraża, lecz wprost rozdziera nerwy. Obraz strwożonej Kerenus, krzątającej się po izbie i chajłaka, wodzącego za nią błyszczącemi oczyma ze swego kąta — nie jest żadnym, dającym się wygładzić »nuancem«, a styl autora i najwyższa objektywność w przedstawieniu nawet chajłaka jest po prostu potężną, dawno u nas nie słyszaną.

Dok. n.



Samę oszukaństwa.

Z monologów Klemensa Junoszy.



Sąme oszukaństwa! Ja panu co powiem, że na świecie jest samo oszukaństwo — ja... Immerszlecht! W. Immerszlecht! Pan mnie może wierzyć, mnie wszyscy znają! Nie wierzysz pan? Proszę iść na Nalewki i spytać się, co powiadają o W. Immerszlecht? O panu W. Immerschlecht: powiadam wyraźnie, bo jest także B. Immerszlecht i S. M. Immerszlecht, trochę moi krewni, ale wielkie łajdaki. Niech ich djabli wezmą! Dziś porządny człowiek żyć nie może — zamiast kapitału masz pan obiecankę, zamiast procentu także obiecankę, to ładna waluta jest! żeby moje wrogi zawsze taką widzieli. Robisz pan z dłużnikiem układ — obiecuje! chcesz mu pan sprzedać meble — obiecuje! Oni wszystko obiecują, cały świat obiecuje! Z tego interesu najlepsza gospodyni nie potrafi rosół ugotować.

Ja panu co powiem, ale przepraszam, mnie trzeba, za pozwoleniem usiąść *(siada)*. Ze wszystkiem mam zerwane nogi. Mówisz pan, że to, broń Boże, od chodzenia, gdzie tam, to ze zmartwienia jest. Ja mam taką delikatną naturę, że mnie każdy smutek nie tylko do serca idzie, dalibóg nie tylko! On mi się wpycha w kolano, czasem w dwa kolana i tak mnie kole coraz niżej, aż pójdzie całkiem do ziemi! I co z tego? Ledwie jeden wylazł do ziemi, drugi znów wlazł w kolano — i tak codzień. Pan dobrodziej myślisz, że W. Immerszlecht miał słodkie życie? W. Immerszlecht miał bardzo gorzkie życie. A wiesz pan, przez co on miał gorzkie życie? — Przez oszukaństwo. Myślisz pan, że między nasze żydki znajdzie się dużo uczciwość? Bardzo mało, całkiem tak jak nic, albo i wcale nic! Oni nabożni są, oni modlą się, oni jeżdżą do rabinów, ale gdy przyjdzie do interesu, to zaraz z nich wyłazi cały djabeł! Ho! ho! warszawskie żydki to jest fajn gatunek osoby! rarytne osoby, — ja miałem dwie żony warszawskie! Sam jestem wcale nietutejszy, pochodzę z dalekich stron, z nad samej pruskiej granicy, będzie stąd wiele mil? Może trzydzieści mil! Myślisz pan, że u nas żydy takie, jak tu żydy są? Że oni niosą wielkich zabłoconych butów, długie kapotów i husyckich czapek na głowie? Myślisz pan, że są ordynarne grubjany jak tu? Oni nie niosą grube butów, ani husyckich czapek, oni nie są grubjany, — oni ubierają się jak ja, jak wszystkie insze panowie. Mają, z przeproszeniem, spodnie od samej ziemi, krótki palton, a na głowie kapelusz, albo ładny zwyczajny kapelusz, albo cylinder mają. Pytasz pan dobrodziej, dlaczego ja tu się sprowadziłem do Warszawy, między taki gruby naród? albo ja wiem. Miałem trochę pieniędzy, — myślałem, że się tu dorobię. No, dorobiłem się ładnie! A wiesz pan, co ja się dorobiłem? Ja się dorobiłem dwie żony? Jedna żona to była całkiem moja zguba, druga też nie jest reperacja. Nie mam szczęścia do rzetelnych interesów, a co mi się trafi, to samo oszukaństwo! Pan pytasz się, jakie oszukaństwo może być w żonie? Prawda; — kobieta, to jest kobieta; jedna ma taki feler, druga taki feler; trafi się inna, co ma i dwa felery, ale zawsze to jest kobieta, i w tem jednem niema oszukaństwa! Każda ma na sobie kawałek spodnicy i czepek, każda potrafi zrobić dobrego krzyku i gałgańskie jedzenie, każda potrzebuje mieć swoje perły i swoje fanaberje. Na to niema oszukaństwa... ale wszystko inne! Cha! cha! cha! czy pan wiesz, jak w nich to wszystko inne wygląda? Ja panu powiem...

Przepraszam pana, ja potrzebuję zapalić moje cygaro, albo daj mi pan swoje cygaro... Ja mam czasem takie drapanie w gardle, że zaraz potrzebuję palić cygaro. A wiesz pan, kiedy mnie najgorzej drapie? Jak sobie żonę wspomnę. Ja miałem pełną głowę tej żony. Pytasz się pan czy ona była brzydka? Nie, ona nawet była bardzo ładna, trochę już niemłoda, ale wielce wspaniała kobieta. Ona nie wyglądała jak żydówka, wyglądała jak hrabina! Ładna była, tłusta była — i w tem główny feler. Powiadasz pan, że to niewielki feler?! To jest właśnie najgorszy feler, — zaraz się pan przekona. Jak ja przyjechałem do Warszawy, to byłem wdowiec. Dzieci miałem dorosłe, wyposażone, jak wdowiec; ale bez żony to u nas nie wypada człowiekowi być, nie pasuje. Ja potrzebowałem postarać się o kawałek żony... U nas to nie jest bardzo trudno. Są swaty, co się tylko z takim interesem trudnią; więc poszedłem do takiego swata (żeby on nogę złamał!) i powiadam: mój kochaneczku, szukaj ty dla mnie kawałek żony! A on, ten swat (niech jego wielka febra trzęsie!) powiada, że on mnie zaraz da taką żonę, co w całej Warszawie lepszej się nie zdybie. (Żeby on tak świat oglądał!). Ja jego się pytam, gdzie taka rarytność jest? A on (niech jego głowa zaboli!) powiada, że za godzinę napiszemy zaręczyny (żeby on czarny rok miał, ten gałgan!). Zaczął mi opowiadać: po pierwsze, że ona wdowa jest; po drugie, że bardzo porządna kobieta; po trzecie, że pochodzi z wielkiej familji, z Luftmanów, z tych wielkich Luftmanów, co mają cztery domy na Muranowie. Słyszałeś pan zapewne — cztery domy na Muranowie i kantor, skład szkła porcyneli i galanterji pod firmą I. S. Luftman. Znasz pan pewno, pierwsza rystokracja na całe Warszawie! Po czwarte, że ma sumę hypoteczną 5.642 ruble na domu Kaltwassera na Gęsiej, gdzie szynk z zielonemi drzwiami. Powiedz pan, czybyś się nie złakomił na taki interes? Ja nie miałem takiej mocy, ja złakomiłem się. Poszedłem do Krasińskiego ogrodu ze swatem, zobaczyłem tę kobietę (ładna była kobieta); w dwie godziny później

napisaliśmy zaręczyny, a na drugi dzień to było już całkiem po weselu. Mój swat (żeby on dostał ślepotę na oczy!) kazał zapłacić sobie za ten interes dwadzieścia pięć rubli; ja jemu dałem z wielkim targiem jedenaście i pół (żeby on to dwadzieścia trzy razy wychorował!)... Jak było, tak było, dość, że ożeniłem się; myślałem, że będę całkiem spokojny. Cały tydzień było mnie dobrze, miałem w stancji ciepło miałem co jeść, miałem każdą wygodę, ale dalej! Słuchajno pan, co było dalej! Pokazało się, że wszystko było oszukaństwo! Po pierwszego, powiedzieli, że ona jest wdowa, i naprawdę, ona była wdowa, — ale jaka wdowa? Myślisz pan, że taka, jak bywają wdowy, po jednym mężu? Nie, ona była po czterech! Ja przyszedłem piąty, po dwóch nieboszczykach i dwóch rozwodnikach! Mniejsza o to, to bagatelny interes. Po drugiego, powiedzieli, co bardzo porządna kobieta — i to było też oszukaństwo, bo ona wcale nie lubiła porządku, ale mniejsza i o to. Myślisz pan, że o takie głupstwo robiłbym jaką awanturą? Wcalebym nie robił żadnej awantury, słowo honoru panu daję. Po trzeciego, powiedziano, co ona jest z wielkiej familji, z Luftmanów, z tych, co mają cztery domy na Muranowie i kantor I. S. Luftman — i to było oszukaństwo! Ona pochodziła, co prawda, z Luftmanów, ale z tych Luftmanów, co biedni są, same łapserdaki i kapcany... ale i to mniejsza! Myślisz pan, że o taki interes miałem sobie powiesić? (niech mój swat się powiesi!). Mnie było bardzo przykro, ale myślałem sobie: cóż robić? Pan Bóg jeden jest, On stworzył i tych Luftmanów, co mają cztery domy na Muranowie i kantor I. S. Luftman, i On stworzył tych Luftmanów, co nic nie mają i są kapcany i łapserdaki. Było mnie to bardzo przykro, że moja żona pochodzi wcale nie z wielkiej familji, ale zniosłem już i to trzecie oszukaństwo. — Cierpiałem... Po czwartego, było powiedziane, swat powiedział (żeby on dostał ogień na wątrobę!) że moja żona ma 5.642 ruble na domu Kaltwassera, na Gęsiej, wiesz pan, tam, gdzie szynk z zielonemi drzwiami. Tymczasem i to było oszukaństwo; prawda, ona miała tę sumę, ale suma wisiała na siedemnastym numerze, Towarzystwo zrobiło licytację — moja suma spadła (żeby tak mój swat z dachu spadł kiedy!) i cały interes przepadł! Mnie było bardzo przykro, ja się okropnie gniewałem, ja się martwiłem, ja chorowałem, mnie wlazło wtedy w głowę, w kolano, w serce, chodziłem do lecznicy, mnie kosztowało sama medycyna pół rubla, a bańki! No, ale przecierpiałem.

Dok. n.



Akademja rolnicza dla kobiet.

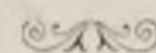
Już od kilkunastu lat istnieje na Ukrainie (w Kijowskiem) prywatna szkoła rolnicza i gospodarstwa domowego, przeznaczona wyłącznie dla kobiet. Założycielką jej jest pani M. N. Griniewa, która poświęca temu dziełu nie tylko wiele pracy, ale i znaczne środki pieniężne. W jednym ze swych sprawozdań p. G. zaznacza »naglącą potrzebę rolniczego i gospodarskiego wykształcenia dla córek średnich i drobnych właścicieli ziemskich i inteligentnych włościan oraz zwrócenie uwagi ogółu zupełnie wykształconych kobiet na tę sprawę, dotychczas traktowaną obojętnie«. Słabą jednak stroną szkoły, o której mowa, jest wyłącznie praktyczny kierunek, z zupełnem prawie pominięciem strony teoretycznej.

Brakowi temu widocznie zaradzić mają nowe szkoły rolnicze, których staraniem i organizacją zajmuje się obecnie rosyjskie ministerjum dóbr państwa. Prof. Steburt już naszkicował plan wyższej szkoły rolniczej dla kobiet. Ma ona połączyć teoretyczne wykształcenie fachowe z nauką praktyczną na folwarku. Opozycyjne sfery społeczeństwa rosyjskiego widzą w tym projektowanym nowym przybytku wiedzy fachowej nie tylko otwarcie dla kobiet nowej sfery pracy, ale i z samej pracy rolniczej, wymagającej z konieczności zbliżania się do masy włościaństwa, obiecują sobie wielkie cywilizacyjne korzyści.

p.



Z RUCHU LITERACKIEGO.



Ciszewski. Krakowiacy. Monografja etnograficzna. T. I. Podania. Powieści fantastyczne. Powieści anegdotyczno-obyczajowo-moralne. Bajki o zwierzętach Zagadki i łamigłówki. Kraków 1894. Str. 380. 2·80.

Junosza Klemens. Monologi. Z ilustracjami Fr. Kostrzewskiego. Nakładem księgarni T. Paprockiego. i Spółki. Str. 200. Warszawa 1895.

Kasparek Dr. Franciszek Podręcznik prawa politycznego. Tom II. Cz. I. Kraków 1894. Str. 232. 2.—

Piotrowski X. Jan. Dziennik wyprawy Stefana Batorego pod Psków. Wydał A. Czuczyński. Kraków 1894. Str. 240. 2·40

Strzemeska J. i Weryho M. Wychowanie przedszkolne. Podręcznik dla wychowawców. — Z licznemi drzeworytami w tekscie i 30 tablicami litografowanemi. Warszawa. Nakładem księgarni T. Paprockiego i Sp. 1895. Str. 270. 2·60.

Żmigrodzki Michał. Kongres katolicki i kongres wszech religji w Chicago 1893 roku. Kraków 1894. Str. 86. —.75.



Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.